W WIRTEMBERGU I BAWARJI.



Na prawym brzegu Renu, który się tu po moście przebywa, leży miasto Kehl, rozpoczynające terrytorjum w. ks. Badeńskiego. Zdoławszy oderwać myśl od kłopotów granicznéj rewizji, wędrowiec spogląda za siebie na linię silnych fortyfikacji Strazburga, które występują naprzód, niewiadomo broniąc li czy zaczepiając i na tę wspaniałą i uroczą przestrzeń ciągnącą się ku Szwabji, która jest, jakby różnowzorym kobiercem, zasłanym przez naturę od stóp Wogezów ku ponurym wierzchołkom Czarnego lasu i którą Goethe rajem ziemskim nazwał, rajem, niestety! w tysiąckrotnych walkach fanatyzmu lub pychy, obficie krwią ludzką skrapianym. „Mieliśmy go, wasz Ren niemiecki,“ powiada pieśń francuzkiego poety, odpowiadająca na niemieckie wierszowe pogróżki, że Ren, jako czysto germańska rzeka, nie udzieli kropli wód swoich na ochłodzenie cudzoziemca. A francuz ciągle się z patrjotyzmem niemieckim przekomarzając, dodaje: „Rumaki naszych żołnierzy będą pić wodę Renu, podaną przez wasze dziewice“. Tak to antagonizm polityczny odbił się i w literaturze.

Oddalając się od Renu, zbliżyliśmy się ku rzece Neckar, któréj roskoszna dolina u stóp Alp Szwabskich się ściele. Nie zatrzymując się w stolicy Badeńskiego, Karlsruhe, zostawiając na prawo słynny zakład kąpielowy Baden-Baden, po opuszczeniu stacji Bruchsal, wjechaliśmy w granice królestwa Wirtembergskiego. Tam przyjęły nas wagony niezmiernie towarzyskie, bo nietylko takie jak są i u nas, bez przegród, z ławkami na dwadzieścia kilka osób, ale jeszcze łączące się ze sobą tak, że konduktor pociągu, może przejść jego środkiem od początku do końca. Lecz ile to tam było zmian tych wagonów, to wyliczyć nie podobna. Tu wysiadaj, bo inna kompania trzyma kolej, tam dla tego, że się jéj linie rozchodzą, koniec końcem, wiecznie biedny wędrowcze zbieraj swe sakwy, parasol, paletot, słowem całe niezbędne do mienia pod ręką rupiecie i przenoś je z wagonu do wagonu.

Już dzień miał się ku schyłkowi, kiedy po prawej stronie drogi ukazał się oczom moim zamek na wysokiej skale. Zachodzące słońce czerwonemi blaski zaiskrzyło wszyskie jego okna; było w tém coś jakby łuna pożaru, jakby pożoga wojny, niby krew!.. smutném wrażeniem serce mi się ścisnęło, co to jest pytam? Asperg, odpowiedziano mi, wyższy Asperg to warownia, niższym zaś zwie się miasteczko. Ach! to te straszne więzienie w którém lat dziesięć przepędził Szubart.—Tak jest, ale nie sądź pani, żeby obecnie ono było zaludnione, w podobny sposób jak za czasów srogiego Karola Eugeniusza, jest tam teraz tylko trochę niepoprawionych złodziei.

Dowiedziałam się przy tej sposobności, że węzły wzajemnych uczuć łączą naród wirtembergski z jego monarchą, obok którego stoi energiczny minister Warnbühler, zwracający baczną uwagę na usiłowania ekonomji politycznéj i wiele się po niéj spodziewający. Dzięki jego staraniom, kraj cały pokrył się siecią dróg żelaznych, co bardzo do jego dobrobytu się przyczyniło.

Szubarta imie jest tu popularne, a czytelnicy którzy go poznali z pięknéj powieści Brachvogla, drukowanej w „Kółku“ przed rokiem, pojmą z jakiem zajęciem patrzałam w te mury poczerniałe, jednoczące się w barwie z nagą skałą na któréj sterczą, na tę drogę stromą, prowadzącą do warowni, którą niegdyś przebywała Franciszka, obok swego książęcego małżonka. O zmierzchu przybyliśmy do Ludwigsburga i choć już nie mogłam widzieć wiele, a może właśnie dla tego, zaludnił się on dla mnie osobami, bądź historycznemi, bądź temi, w które powieściopisarz wcielił różne uczucia i namiętności, a nad wszystkiemi górował cichy chłopaczek ze szkoły Karola, rzewny, głęboki, wielki później poeta Szyller.

W Ludwigsburgu wagony nasze dopełniły się jadącemi do Sztutgardu, gdzieśmy zduszeni i rozespani już późnym wieczorem przybyli.

Zamieszkawszy w eleganckim hotelu pod firmą: *ks. następcy tronu*, (dodam tu nawiasem z własnego doświadczenia czerpaną radę dla podróżujących, żeby się nie łudzili, że brudniejsze hotele są tańsze), pojechałam na drugi dzień o milę (ośm mi-

nut drogi) od stolicy Wirtemberga do Kannstadt, miejsca słynnego kąpielami mineralnemi, koło którego grupują się pałace królewskie: *Wilhelma* niedostępny dla publiczności, a jego dachy maurytańskie, zaledwo wśród drzew dojrzeć można, *Rosenstein* z piękną galerją obrazów, pod którego fundamentami nurtuje tunel, gdzie z głuchym hukiem co godzina przesuwa się pociąg kolei żelaznej. Ale najpiękniejszą jest tak zwana *willa następcy tronu*, budowla we włoskim stylu, na to położenie jéj na górze, gdzie ciągle przeciągają ostre wiatry, niepraktyczna może cokolwiek, je dnak wdzięku pełna. Lekkie arkady, obwieszone winną latoroślą, ganki i kolumny, marmur i malowidła ją zdobią. Zbudował ją przed ożenieniem dzisiejszy monarcha, tutaj też i teraz najchętniej z małżonką swoją przebywa. Wznosi się na jedném ze wzgórzów, których pasmo na lewym brzegu rzeki Neckar się ciągnie, drugie takie pasmo występuje naprzeciwko, równolegle, tworząc dolinę, w której leży Stutgard. Na tych górach otaczających miasto są malownicze przechadzki. Wprost willi, widać drzewa posadzone na cześć Uhlanda, a jego pieśni i ballady powtarzają całe Niemcy. On śpiewał piękności natury, te góry, te strumienie, wśród których jego imie brzmi chwałą ulubionego szwabskiego poety.

Pałac królewski w mieście budzi także żywe wspomnienie ks. Karola, przez niego bowiem zbudowany; jest jeszcze stary zamek, w którym mieszkali jego przodkowie, zajęty dziś na bióro. Niedaleko jest plac Szyllera, z jego stojącym posągiem, poza pałacem zaś ogród królewski przedłużający się w park, biegnie doliną prawie do samego Kannstadu, zdobny kilkunastoma pięknemi posągami. Byłam tam w czasie przechadzki niedzielnej. Miły Boże! łatwożto być elegantką w Stutgardzie; ręczę, że nasze warszawskie kucharki są w niedzielę bardziej wystrojone, choć z drugiej strony trudno mi nie pochwalić, że kraj nie bogaty w fabryki tego rodzaju, żyjący po największéj części ze swych baranów, z których jak ktoś dowcipnie powiedział zjada najchudsze, najtłuściejsze sprzedawszy, nie wydaje dużo pieniędzy na przedmioty, które musi od obcych sprowadzać. Ale za to Stutgard ma muzea, biblioteki, dużo książek i pism perjodycznych drukuje. Zresztą miasto niewielkie najwięcéj 60 do 70 tysięcy mieszkańców, można je łatwo poznać przez dzień jeden. Teatr pięknie urządzony, na placu między zamkiem a ulicą królewską wznosi się kolumna zwana „jubileuszową“ postawiona na pamiątkę 25letniéj rocznicy panowania zmarłego króla Wilhelma.

I znów wśród poranku pogodnego dnia letniego, uniósł mię długi pociąg kolei w stronę Alp szwabskich, krainę cudów i uroku, jakich nie wiele tak pięknych w Europie. Nigdy najzręczniejszy dekorator nie ugrupował malowniczych obrazów powabniej, jak się przedstawiają same z siebie, ciągnącemu po różnych załamaniach gór, pociągowi żelaznej kolei; zarośla i nagie skały, dzikie parowy i doliny roskoszne, ponad któremi średniowieczne wznoszą się zamki, wszystko to przesuwało się przed naszemi oczyma w tajemniczym półcieniu, lub też w pełni oświecone blaskiem południowego słońca. Trudno było usiedzić na miejscu, a obszerność w liczne okna opatrzonych wagonów, tu, bardziej niż kiedy mnie zachwyciła. Byliśmy na najwyższym punkcie Europy, po którego zachodnim stoku wszystkie wody ku oceanowi, na wschodnim zaś ku morzu Czarnemu lub Kaspijskiemu zmierzają. Przez kilka stacji pokazuje się z różnych punktów wierzchołek Hohenstaufen, 2400 stóp nad poziom morza wzniesiony, groźny, wyniosły jak ród cesarski, który od niego wziął swoje nazwisko, rządząc Niemcami dłużej niż wiek cały. Coś jakby resztki gruzów po starym zamku, na tym nagim wierzchołku szarzeje, to może tylko skała, gdyż twierdzą że zamek będący gniazdem tego rodu, został zburzony wśród wojen domowych, a jedyną pamiątką owych czasów, ma być, na dole przy wsi Staufen, stary kościołek z wyobrażeniem na murze cesarza Fryderyka Rudobrodego i z napisem *Hic transibat cesar*. Bądź co bądź, trudno oczu od téj wyniosłéj skały oderwać, taki ma urok to rozmyślanie tęskne, w jakie pogrąża wspomnienie wielkości ziemskiej, w proch rozsypanej wśród pochodu wieków. Lecz oto naprzeciw Hohenstaufenu, nęci oko powabniejszy choć niższy Rechberg. Na tym wierzchołku zwaliska zamku starego rozpoznać można doskonale i widać je długo; nikną z oczu i znów się pokazują, aż się ich rzuci dla innych niemniej pięknych. Naprzeciw stacji Süssen ukazują się zwaliska Staufeneck i nieco daléj w całości zachowany zamek Rambergu. Słowem nie zliczyłby nazwisk i zaprzestałam je nawet wyczytywać w moim *przewodniku*, czując że zajmowanie się tą suchą nomenklaturą, byłoby grzechem w obec majestatu poezji, który tu występował w całym swym blásku. Tak tedy wśród najrozmaitszego panorama, śledząc wzrokiem kryjące się w chmurach wierzchołki, na których stare mury zapisały dziejowe wieków przewroty, lub spuszczając go na roskoszną zieloność dolin, gdzie po bokach pną się winnice dostarczające owego szumiącego wina, zwanego winem Neckaru (Neckarwein), dojechaliśmy do Ulmu, co ma trzech panów, jak to pisząc o nim, powiedziałam. *Nowy Ulm* już jest w Bawarji, fabrykuje wiele fajek, a sławę jego roznoszą ... szparagi, hodowane na wielką skalę. Wraz z odmiennym rządem, zaczyna się i grunt zupełnie odmienny, bardziej płaski, ale też i uprawny lepiej. Włościanin zamożny, nie ubiera się wszakże tak malowniczo, jak szwab z sąsiedniego kraju. Po minionych widokach które utkwiły w wyobraźni, całą potęgą swéj kolosalnej piękności, nie było już patrzeć na co; słońce też paliło straszliwie, ba-

warki opancerzone ogromnemi krynolinami cały wypełniały wagon, duszno było nie do wytrzymania, że mimowolnie zamykały się do snu oczy, aż wreszcie wśród poczynającego się wieczornego chłodu przybyliśmy do stolicy Bawarji, o której twierdzą, że jest ze wszystkich miast Europy, najwyżéj nad poziom morza wzniesiona.

Monachium wydało mi się na pozór cichém, jak miasto prowincjonalne; gaz palił się oszczędnie że aż ciemno na ulicach, ekwipażu ani poświeć, nawet publicznych pojazdów mało. Dano mi szkaradną czekoladę i znalazłam, że mają daleko lepsze piwo, a nie dziw, prawdziwe bawarskie.

Nazajutrz rano zaczęłam od zewnętrznego obejrzenia miasta; poza dworcem kolei były już jego krańce. Tam rozciągała się wśród niziny obszerna zielona płaszczyzna, ograniczona z jednéj strony pałacem czy pomnikiem jakimś. Co to jest? pytam. Bawarja, odpowiadają mi. No, wiem, że to Bawarja, aż nareszcie przypominam sobie o owym posągu allegorycznym przez króla Ludwika wzniesionym i wsiadam w dorożkę aby mnie tam zawiozła. Dojeżdżam, z prawej strony wznosi się rodzaj galerji, w któréj dostrzegam popiersia, po lewej nad łąką (Theresienwiese) posąg kobiety nadnaturalnej wielkości. Jest to olbrzym Bawarja! wyznaję że ta wielkość niewielkiego kraju, który nie miał nigdy przeważnego głosu w losach Europy uśmiech budzi. Obok ta sala z jédnego boku odkryta, jakby pod włoskiem niebem, to *sala chwały* (Ruhmeshalle) należałoby dodać miejscowej, gdyż o połowie tych wielkich ludzi, których tam stoją popiersia i posągi, mało co wie Europa. Gdy się tak przypatruję wnętrzu owéj sali chwały, usiłując odgadnąć nazwiska wieńczonych w niej wielkości, zbliża się do mnie strażnik miejscowy, ofiarując otworzyć za nagrodą drzwi balustrady zamykającéj wejście z téj strony, z której ściany nie ma. Odmówiłam—to com widziała bowiem wystarczało mi, lecz ponieważ słyszałam, że widoki z głowy *Bawarji* na góry Tyrolu prześliczne, udałam się więc wewnątrz niéj po kręconych schodach. Strażnik daje w rękę łojową świeczkę, ale sam nie fatyguje się bynajmniéj dla towarzyszenia podróżnym; zostawia ich własnemu losowi. Utrzymują, że u saméj góry, to jest w głowie, sześć osób może się rozsiąść wygodnie, tak jednak nie jest i cztery już się dusi na tych miedzianych kanapkach rozpalonych od słońca. Niepodobieństwem jest w téj atmosferze myśléć o zachwycaniu się pięknością widoków, jakie dostrzedz się dają przez oczy i uszy posągu; ucieka się na dół jeszcze chętniej niż się wchodziło, zapłaciwszy strażnikowi haracz za widziane i niewidziane.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

DJARJUSZ CEREMONJAŁU

czynionego z okazji przyjazdu

SEJD NUMAN BEJ

Basch Merchaubdgi (to jest kontrolera generalnego cesarskiego), posła ekstraordynaryjnego od prześwietnej Porty Ottomańskiej, do

STANISŁAWA AUGUSTA

Króla Polskiego i Rzeczypospolitéj, w roku 1777, w miesiącu Sierpniu.

Pod nieobecność jo. ks. imci Lubomirskiego marszałka w. koronnego, jw. imcipan Rzewuski, marszałek nadworny koronny, sprawując urzędu jego obowiązki, doniósł prześwietnéj Komisji skarbu koronnego, o przebyciu już granic polskich posła imci tureckiego, o czem z powinnéj referencji do marszałka koronnego miał doniesienie, od w. imcipana Bachmińskiego pułkownika wojsk koronnych i dworzanina j. k. m., mianowanego od najjaśniejszego pana i Rady nieustającéj, według dawniej zachowywanych zwyczajów konduktorem. Komisja skarbu koronnego, tym końcem pałac Emkinowej zwany, na ulicy Mazowieckiej sytuowany, najęła za summę 500 *dico* czerw. złotych pięćset, na miesięcy trzy i w dworku na Cymerowie zwanym, przynająć kazała pokój z kuchnią za 20 dukatów na kwartał. Te zaś dołożono w kontrakcie z imcipanią Emkinową ostrzeżenie, że gdyby jw. poseł dłużéj nad ten czas bawić miał, wtedy nie więcéj jak 20 dukatów na tydzień Komisja płacić będzie.

Dyspozycją zaś rozrządzenia dla wygody

jw. posła dała Komisja prześw. imcipanu Żukowskiemu margrabiemu pałacu Rzeczypospolitéj, który za wziętą informacją od jmcipana Krutty, tłómacza j. ks, mości i Rzpltej, do skutku przyprowadził.

Dnia 5 sierpnia Seid Numan Bey stanął w Kozienicach, zkąd niebawnie wysłał do marszałka nadwornego koronnego Ahmet-Agę, (Kiachai to jest urząd marszałka legacji sprawującego), Hassan-Agę Baschohadara i Antoniego Symianow, którzy dnia 7 sierpnia stanęli w Warszawie, a adresowani listem imcipana Bachmińskiego, zajechali do pałacu podczaszego litewskiego, to jest do stancji jego, zkąd po krótkim wypoczynku posłali do imcipana Krutty, tłómacza j. k. mości i Rzpltéj, z doniesieniem o przybyciu swoim, niemniéj z dopraszaniem się, aby przez niego mieli od jw. marszałka wyznaczoną godzinę, o którejby mogli ekspedycją od jw. posła do jw. marszałka koronnego adresowaną oddać; co imcipan Krutta natychmiast dopełnił i jw. marszałek nad. kor. wyznaczył godzinę 4tą po południu, a imcipana Kruttę tłómacza j. ks. mości, posłał w karecie swojéj, zapraszając onych na tęż godzinę.

Stawił się Kiahaia na czas wyznaczony, wraz z drugiemi sobie przydanemi, a jw. marszałek rozstawiwszy w przedpokoju liberję swoją, a w dalszych pokojach znaczną liczbę officjalistów, przyjmował tegoż Kiahaię według zwyczaju orientalnego. Siedząc sam jeden na kanapie, przed sobą na podanych krzesełkach Kiahai i Baschohadarowi pokazał miejsce do siedzenia przy odbieraniu ekspedycji tureckim językiem, któréj w te słowa jest tłómaczenie: „Szacowny, czcigodny i uprzejmie nam miły przyjacielu, hrabio Rzewuski, marszałku nad. kor., sprawujący urząd pierwszego ministra u najsławniejszego z pomiędzy książąt chrześciańskiego narodu, który jest podporą rządzących ludem Jezusowym, oraz jest wspaniałym, znakomitym, przychylnym, poszanowania godnym i wsławionym dla chwalebnych zwyczajów i dobrych przymiotów, sławny zdawna przyjaciel najjaśniejszej Porty, najjaśniejszy król polski. Koniec wasz niech będzie szczęśliwy.“

„Po uczynieniu od nas pozdrowienia i upewnieniu o najszczerszéj przyjaźni, oznajmujemy wam w sposobie przyjacielskim, iż będąc ordynowanemi i wyznaczonemi przez najszczęśliwszy dwór Ottomański, jako poseł do najjaśniejszego króla wzwyż wspomnionego i Rzeczypospolitéj polskiej, ruszyliśmy się i wyjechaliśmy od dworu Ottomańskiego, przyjechaliśmy szczęśliwie do Chocimia, tam przeprawiwszy się przez rzekę Dniestr, przyjęci byliśmy przez szacownego nam przyjaciela, kasztelana kijowskiego i imcipana Bachmińskiego, pułkownika wojsk koronnych i Dworzanina j. k. mości, konduktora, na ten koniec mianowanych; także że wespół z temi dwoma przyjaciołmi wzwyż wspomnionemi, przybyliśmy do Żwańca.

Dla rychlejszego zbliżenia się nazajutrz znowu puściliśmy się w drogę za pomocą i władzą Najwyższego, a zgadzając się z rozkazem i wolą najmocniejszego i najwspanialszego cesarza pana mego łaskawego i samowładnego, w wyznaczonym przeciągu 29 dni, za pomocą Boga stanęliśmy szczęśliwie w Kozienicach, zkąd w przyszłą niedzielę udamy się do Wilanowa, o dwie mile od miasta stołecznego Warszawy, tam odpocząwszy kilka dni, pojedziemy do stołecznego miasta, aby mieć ukontentowanie widzenia się i pomówienia z temi, z któremi należy.

Takowe jest rozporządzenie ułożone. Aby zaś wam, przyjacielowi naszemu wiadome było, piszemy do was list przyjacielski i ten posyłamy umyślnie przez naszego Kiahaię (to jest marszałka), Ahmet-Agę i przez naszego Baschohadara Hasan-Agę, aby doszedł rąk waszych. Spodziewam się iż wyrozumiawszy istotę szczerych sentymentów przyjaźni naszej, będziecie się zgadzać z dawnemi zwyczajami, zawsze praktykowanemi, i że niebawnie przygotować każecie wszystko, co do dobrego traktowania i przyjacielskiego przyjęcia potrzeba, rozumiemy także iż odeszlecie nam jaknajrychléj rzeczonych ludzi naszych do Wilanowa i że wzajemnie pisząc do nas, oświadczycie nam, jako potwierdzacie szczerość i nieskazitelność przyjaźni naszéj, takąż samą nawzajem, co będzie dla nas z ukontentowaniem.

Seyd Numan Bey;
poseł od naj. Porty do dworu polskiego.

Na tyle podpisu wyciśniona jest pieczęć posła z imieniem jego w tych wyrazach: *Niewolnik Boski Seyd Numen Bey.*

Wzwyż wyrażonych słowach odbierając ekspedycją jw. marszałek nadworny koronny, nachylenie głowy uczynił, oświadczając podziękowanie, i w tém kazał dać kawę i konfitury, któremi częstowano najpierwej Kiahaję, Baschohadara, a potem i tłómacza z niemi przybyłego, który stał na lewej stronie Kiahai, na prawéj zaś stał imcipan Krutta, tłómacz j. k. m. i Rzpltej, który sam tak słowa jw. marszałka jako i Kiahai tłómaczył, co i w późniejszych zawsze audjencjach zachowane bywało. Jw. marszałek rozprawiać począł z Kiahają o drodze i powodzeniu w téjże jw. posła, niemniéj pytał się, kiedyby spodziewać go się należało? Odpowiedział Kiahaja przy upewnieniach o zupełnych w całéj podróży wygodach, iż ułożenie jw. posła przed jego rozjechaniem się z Kozienic było, szczególnie czekać powrotu z Warszawy wysłanych, a potém pospieszać do tego kapitalnego miasta, i że najdaléj za dni trzy w Wilanowie spodziewa się stanąć, gdzie kilkodniowy odpoczynek życzyłby sobie uczynić, niemniéj tam oczekiwać od jw. marszałka dalszego względem wjazdu rozrządzenia. Jw. marszałek odpowiedział przy oświad-

czeniu satysfakcji, iż Rzeczpospolita umiała kontentować posła jego cesarskiej mości, upewnił imieniem jego k. m., iż ta jest chęć zawsze, aby nic prócz dowodów szczerej sąsiedzkiej przyjaźni, nie doznawał wysłany od najjaśniejszej Porty, i że jw. marszałek oprócz urzędu swego obowiązków, zatrudnienia się przyjęciem jw. posła, znajduje w sobie szczere życzenie osobistych dla niego okazywania grzeczności; wyraził oraz jw. marszałek, że najjaśniejszy król życząc sobie przyspieszyć moment okazywania swoich względów dla jw. posła, żąda aby ułożenie uczynione w Kozienicach, zatrzymania się kilkodniowego w Wilanowie, odmienione było, trakt pod Warszawą obrócony, a na spoczynek Piaseczno naznacza, z przyczyny że to jest miasto j. k. m., da więcéj sposobności jw. posłowi uczynienia przyzwoitych wygód, dodając że i ztąd kontrybuować będą, zasłaniem potrzebnych do doskonalszéj wygody wiktuałów i że w Piasecznie wolno będzie jw. posłowi bawić się, ile się będzie podobało. Chętnie Kiahaia na tę propozycję j. k. m., przez Jw. marszałka uczynioną przystał, imieniem jw. posła, z upewnieniem, że skoro ta jest wola j. k. m, będzie miło dopełnić onęż jw. posłowi, wyraził oraz oświadczenie wszelkiej zawsze na rozkazy naijaśniejszego pana powolności jw. posła. A mając wspomniony Kiahaja listy sobie, od imcipana Boskampa, internuncjusza polskiego, powierzone do wielu tutejszych panów, prosił jw. marszałka kor., aby miał pozwolenie użyć imcipana Kruttę, tłómacza j. k. m. sobie za przewodnika, do pooddawania tych listów według adresów, na co jw. marszałek chętnie pozezwolił, a przy ponowieniu dla jw. posła oświadczenia przyjaźni, dał wolność Kiahai odjechania, ofiarując im swój ekwipaż przez czas bytności ich w Warszawie. Przy odjeździe równym sposobem odprowadzeni byli do schodów, jak i przyjmowani. Tegoż dnia Kiahaja pojechał do jw. imci księdza kanclerza w kor., któremu oddał list od internuncjusza polskiego. Inne zaś wizyty do nazajutrz poodkładał.

Dnia 8 sierpnia o godzinie 10 z rana Kiahaja zaczął kontynuować wizyty swoje. Udał się najpierwéj do jo. ks. imci Stanisława Poniatowskiego generała lejtnanta wojsk koronnych, do jw. Aleksandrowicza kasztelana wiskiego i do jw. Ogrodzkiego, sekretarza koronnego i innych wielu. Kiahaja mając czas naznaczony na sobotę, to jest 9 sierpnia, wracania się do Kozienic, przez imcipana Kruttę, o respons od jw. marszałka nad. kor., do posła imci, dopraszał się i tenże w następujących odebrał terminach, po francuzku, nie mniéj i prezenta dla każdego były dane według ich rangi, przez jw. marszałka, na ręce imcipana Krutty. Oto jest list marszałka Rzewuskiego w tłomaczeniu polskiém.

Jaśnie wielmożny!

Odebrałem list przyjacielski, który mi oddali Kiahaja Ahmet-Aga i Baschohadar Hassan-Aga. Poznaję z ukontentowaniem przez zawarte w nim wyrazy, tudzież ich odniesienia, że mile przyjmujesz jw. imcipan wszelkie attencye i przyzwoite wygody, w drodze mu okazywane, począwszy od granic polskich; jako że też w doskonałym zostajesz zdrowiu, w którym przybyłego tu szczęśliwie oglądać pragnę. Wydane tu są rozkazy imieniem najjaśniejszego pana do należytego przyjęcia jw. pana do téj rezydencji królewskiej, tudzież w pałacu dla pomieszkania jego wyznaczonym. Po uczynionym spoczynku na ostatniej stacji w Piasecznie, gdzie znajdziesz dowody ku sobie przychylności najjaśniejszego pana i o czém zupełną imcipan Bachmiński ma już informacją uczynioną.

Odpisuję przez wyżéj wspomnianych Ahmet Agę Kiahaję i Hassan-Agę Baschohadara, którzy spodziewam się, iż kontenci będą z przyjęcia tu im uczynionego. Z wdzięcznością za oświadczoną mi przyjaźń jw. pana, miło mi będzie tejże saméj okazać mu dowody, tak z powodu urzędu mego jako i z szacunku i poważania, z którem jestem.

jw. imcipana dobry i szczery przyjaciel
T. Rzewuski m. n. k.

Dnia 9 sierpnia o godzinie 2ej po południu Kiahaja i z przydanemi sobie Baschodadarem i tłumaczem legacji, pojechali naprzeciwko posła i z nim kontynuowali drogę już odmienioną, z Góry do Piaseczna, gdzie jw. marszałek z woli j. k. mości rozkazał poprzedzić ich przybycie, zasłaniem wszelkich dla wygody jw. posła służących wiktuałów.

Na dzień 10 sierpnia jw. poseł stanął w Piasecznie. Miejsce to blizkie Warszawy, dało okazją wielu, jechania do imcipana posła, który dosyć grzecznie przyjmował, a niektórych według zwyczaju swego kraju.

Dnia 11 sierpnia jw. marszałek nadworny kor., nie znajdując w aktach ceremoniału walnego wjazdu do Warszawy posłów tureckich, gdy j. k. m. chciał szczególniejsze okazać względy dla Seyd Numen Bey, teraźniejszego od prześwietnéj Porty posła, dał oddzielną instrukcję, posłał zatem z rozkazu najjaśniejszego pana jw. marszałek, imcipanu pułkownikowi Bachmińskiemu następującą dyspozycję, według któréj wjazd jw. posła z Piaseczna do Warszawy, uczyniony być powinien.

Dyspozycja jw. marszałka nadwornego koronnego, w. imci konduktorowi Bachmińskiemu do Piaseczna posłana d. 11 sierpnia.

We wtorek przed wieczorem przyjedzie do Piaseczna oficer od juryzdykcji marszałkowskiej, z uwiadomieniem jw. posła, iż na dniu jutrzejszym do Warszawy, miasta rezydencji j. k. mości przyjęty będzie. Imcipan konduktor w dzień przyjazdu poselskiego do Warszawy, odprawi podróż z Piaseczna aż do Łazienek Ujazdowskich, tym sposobem i zwyczajem, jaki był obserwowany podczas podróży.

Między Służewem i Szopami, zaraz się trzeba będzie z gościńca publicznego zwrócić na trakt Wilanowski, aby ekwipaż poselski dostał się do ulicy Królewskiéj, która prowadzi prosto do Łazienek.

Stanąwszy w Łazienkach, jw. poseł wysiądzie na ulicę w prawą rękę, gdzie go powita destynowany na przyjęcie i prowadzić go będzie piechotą do pałacu, ekwipaże zaś jego, pociągną prosto ulicą aż do kwadratu wielkiego, aby tam porządkiem uszykować się mogły.

Po skończonym spoczynku w Łazienkach, na którym przystojnie traktowany będzie, gdy imcipan poseł zechce swój wjazd uczynić do Warszawy, ten takowym nastąpi sposobem. Zajdzie karet królewskich dwie, jedna na ośm osób, druga na sześć, w którą wsiądzie jw. poseł z wybranemi osobami do kompletu czternastu. - Jechać będzie ulicą w górę ku Belwederowi. Przed karetami iść będzie 60 koni kawalerji narodowej, koniuszy i stajenni królewscy, przy karetach hajduków czterech a za karetami 60 koni ułanów królewskich.

Po téj eskorcie imcipan konduktor rozkaże. aby ekwipaże poselskie nieodstępnie ruszyły się.

Wyjechawszy na ulicę Ujazdowską, szlagbany otwarte będą wszędzie, aby ta cała parada temi ulicami do miasta wjeżdżała. Trakt przyjazdu poselskiego będzie takowy: Nowy świat, Krakowskie Przedmieście, z którego wrócić się będzie potrzeba do pałacu Saskiego, aby w lewą bramę do ulicy Mazowieckiej przejechać (gdzie jest pałac dla jw. posła). Na dziedzińcu zaś Saskim zatrzymać się ekwipaże poselskie mają, aby dotąd nie ruszyły się do pałacu poselskiego, dokąd ekwipaż królewski i eskorty nie powrócą. Karety królewskie na podwórze zajadą, gdzie jw. posła przed pałacem wysadziwszy, jak najprędzéj ustępować będą, dla powiększenia miejsca ekwipażom poselskim.

Imcipan konduktor umówi się z oficerem od warty, który tam będzie ordynowany, gdzie szyldwachy mają być porozstawiane.

Destynowany dla przyjęcia jw. posła, odprowadziwszy go do pokojów, pożegna i z raportem do marszałka koronnego powróci.

Imcipan konduktor dla ułatwienia ambarasów pierwszego wstępu, zechce pierwszą noc w pałacu poselskim przenocować, a przynajmniéj tyle czasu zabawić, ileby rozlokowanie ludzi i ekwipażów poselskich mogło potrzebować.‟

Za odebraniem téj dyspozycji, imcipan pułkownik Bachmiński natychmiast poszedł do jw. posła i komunikował mu onę, a odebraną rezolucję w następujących terminach odesłał jw. marszałkowi n. kor.

„Odebrałem list jw. pana dobrodzieja z przyłączoną dyspozycją, pieniądze zapieczętowane ładunków trzy. Tego momentu byłem u dosła jegomości, oświadczając mu przysłane mi rozkazy, względem wjazdu do Warszawy, po których przełożeniu krótką odebrałem rezolucję, że w karecie wcale jechać nie chce i że taką plantą chce wjeżdżać do Warszawy, jaką od granicy był dotąd prowadzony. Przydał i to, że niech nie wznawiają imć ceremonji, bo by to przyszło do trudności w egzekwowaniu, to zajęłoby długi przeciąg czasu. Jak moi ludzie powrócą z oznajmieniem o pałacu, o wygodach w nim, bardzo rano wyprawuję mój ekwipaż z podskarbim we środę, który wypakowawszy wozy, uprzątnąć każe dziedziniec i gotowości poczyni na przybycie moje, a ja dopiero z Łazienek na koniu wjeżdżać chcę. Przydał do tego, że piechotą i trzech kroków nie uczyni. Jeżeli zaś parada wojskowa, wojskowi będą umieli się rozrządzić jak było ze Żwańca wyjeżdżając, tylko pretenduje koni dziesięć pod ludzi swoich z kulbakami, jakie w kraju są używane, choćby i siodła i tego jeszcze pretenduje, aby taż sama eskorta zaprowadziła go do pałacu, która z nim jest, przydając, że inni, jeżeli chcą niech się przyłączą, tak jak Dragonja ze Żwańca i koniecznie przy tém wszystkiém obstaje. Co doniósłszy mam honor wyznać żem jest jw. imcipana dobrodzieja najniższy sługa.

z Piaseczna. J. Bachmiński p. w. k.

Za odebraniem rezolucji w wyżéj wyrażonym liście, a uczynionemu sprzeciwiającéj się ułożeniu, ponowił jw. marszałek n. kor. dnia 12 sierpnia dyspozycję swoję, w następujących terminach, również onę na ręce imcipana pułkownika Bachmińskiego adresując,

„Na listy w pana odpisując, taką daję rezolucją: Wiadomo w. panu, a mnie dobrze znajome, z archiwum wyjętego ceremonjału, że posłowie tureccy żadnego do Warszawy nie miewali wjazdu, zaczem, gdym oświadczył przeszłym listem moim, tę dla jw. imcipana posła attencję, było to jedynie z powodu rozkazu najjaśniejszego pana i mojéj grzeczności, zaczem gdy jw. poseł nie przyjmuje tak jakby powinien tych względów, niech czyni jak mu się będzie podobało i niechcąc wsiadać do karet królewskich, niech się nie spodziewa koni jezdnych.

Czytając te słowo w liście w. pana *pretenduje*, nie wiem czy z ust jw. posła wyszło, czy z pióra w. pana wypłynęło. W pierwszej suppozycji chciej w. pan to dać zrozumieć jw. posłowi, że pretendowania jego wtenczas tylko będą na swojem miejscu, gdy iść będzie o ceremonjał poprzednikowi jego przyznany. Niemniej mnie zadziwia i ta w liście w. pana ekspresja, „piechotą i trzech kroków nie uczyni.‟ Tam jw. poseł z konia zsiadać będzie przed domami królewskiemi, gdzie zwyczaj nasz wniósł tę attencję dla króla; wiadomo zaś w. panu, że na podwórze pałacu Łazienek nikt wjeżdżać nie zwykł, prócz samego najjaśniejszego pana. Więc gdyby jw. poseł pozostawał w téj manji nie chodzenia po ziemi trzech kroków, doniesiesz mu w. pan, że jest

więcéj jak trzy kroki od mostu do pałacu, i że gdy ich piechotą uczynić nie zechce, trzeba będzie aby się obszedł bez tego przyjęcia, które łaska królewska mu destynuje, albo też kontentował się przyjęciem onej w austerji Łazienek, gdyż tam wolno będzie jw. posłowi na koniu i do pokoju wjechać, a w domach królewskich tak tylko przyjmowany być może, jak wola królewska i zwyczaj postanowił.

Daremna jest troskliwość jw. posła o eskorty, gdyż wjeżdżając, swym umysłem nie powinien się zatrudniać tą, która była przygotowana, ponieważ to się stać miało przez przygotowanie ekwipażów królewskich dla posła destynowanych, których gdy zażywać niechce powrócą próżne, wraz z eskortą. Konwój zaś od granicy na asystencją jw. posłowi komenderowany, według dawnego zwyczaju odprowadzać go będzie aż do jego rezydencji. Co wyraziwszy, piszę się z winnem uszanowaniem,

w. pana sługa
F. Rzewuski m. n. k.

P. S. Jeżeliby jeszcze jaka nowość wyniknęła ze wszczętych wymysłów jw. posła, chciej w. pan nietylko na odwrót, przez tegoż posłańca mnie uwiadomić, ale też w potrzebie i sztafetami poczty Piaseczyńskiej nadgłaszać się. Przypominam w. pana pamięci, ten zwyczaj ceremonjału, że gdy jw. poseł w Warszawie w pałacu swym stanie, zechcesz w. pan przyjechać do mnie z raportem. Ten punkt ceremonjału dla tego w. panu wyrażam, gdyż we wczorajszej dyspozycji zdany był na destynowanego do przyjęcia jw. posła w Łazienkach, że zaś to przyjęcie skutku swego nie weźmie, więc ta powinność do samego w. pana należyć ma.“— List ten gdy odebrał w. imcipan kondruktor Bachmiński, od jw. marszałka nad. kor., komunikował go również jak i pierwszy jw. posłowi, a zyskawszy od niego następującą rezolucję, odesłał niebawnie jw. marszałkowi.

(Tegoż dnia przysłał jw. poseł Kiahaję do Warszawy, który miał zlecenie zobaczenia w pałacu wyznaczonym dla jw. posła, jeżeli zupełne dla wygody jego są poczynione rozporządzenia).

„Punkt pierwszy listu do mnie pisanego od jw. pana dobr. przełożyłem: że posłowie tureccy żadnego nie miewali wjazdu z ceremonjałem. Odpowiedział poseł jegomość, że król jmść i Rzplta w moim charakterze żadnego dotychczas posła nie miała; karet i koni jezdnych wcale nie potrzebuję; o eskorcie powiedział, że sobie by Rzplta honor zrobiła i monarsze swemu, gdyby mnie z asystencją do pałacu odprowadziła. Ale sądzi, być rzeczą słuszną, aby kto niższej chociaż rangi od jw. kasztelana Kijowskiego, który go przyjmował na granicy, aby go przywitawszy pod Warszawą, na spoczynku, zaprowadził do pałacu. Na koniec powiedział, że jeżeli żądał król jgmść i Rzplta na tylu dworów instancję, posła od monarchy mego, więc na tém miejscu czekać będę przyzwoitego przyjęcia, jeżeli potrzebny jestem; albo nie? niech mi odpowiedzą, że nie potrzebny jestem, to z tém powrócę do dworu mego i za powrót mój wyeksplikuję się, i wrócę ekspens poniesiony na mnie dotychczas. Ale lepiej by było uregulowawszy wszystko, przez ludzi moich dać mi znać, a ja nie pretendując więcéj prywat, wjadę do Warszawy. O ułożenie zaś wjazdu mego i wyrażone drogi i piechotą iście, bardzo ktoś źle zainformował, gdyż ja na tém miejscu z konia zsiadam, gdzie mój monarcha zsiada. Przydał to, że pan Krutta nie w tłómacza, ale w wyższej, ministrowskiego charakteru osobie postępuje, ponieważ nie na tem miejscu gdzie jest przyzwoito osobie jego, ale dopiero w moim ma mnie witać pałacu, a spotkać zaś mnie przed miastem powinien. Więc jeżeli po przyjacielsku mam wjechać do Warszawy, to proszę w żadne przykre nie wchodzić kwestje.

Nie miej mi za złe jw. imcipan dobrodziej; Bóg widzi że żadnego słowa mego nie dokładam, tylko tłómaczenia donosicielem jestem. Jak powrócą z Warszawy ludzie jego, jaka nastąpi rezolucja, donieść nie omieszkam i suplikować będę o rozkaz, gdzie mam się z nim zatrzymać na spoczynek? czy w Mokotowie, czy gdzie rozkaz nastąpi jw. pana dobrodzieja, bo on ma zwyczaj kawę pijać i tam namioty rozciągnąć każe. Upadam do nóg jw. imcipana dobrodzieja.

najniższy sługa
J. Bachmiński p. w. k.

List ten odebrawszy jw. marszałek nadw. koron. z responsem natychmiast wyekspedjował sztafetę, do imcipana Bachmińskiego, który w tych terminach był napisany:

„Nietylko za złe w. panu mieć nie mogę, ale owszem dziękuję za rzetelne doniesienie słów jw. posła, na które takową daję odpowiedź. Że myli się jw. poseł, gdy rozumie, że my nie znamy jego charakteru, ponieważ wiemy dobrze, że prześwietna Porta dwa nam winna poselstwa. Jedno za jw. imcipana Aleksandrowicza, dzisiejszego kasztelana wiskiego, drugie za imcipana Boskampa, którzy obydwa w charakterach posłów, alias internuncjuszów, byli od j. k. mości wysłani. Niezwykła zaś Porta w wyższej randze odsyłać, nad te które odbiera, zaczem regulując się do dawnych ceremonjałów jw. posłowi przyzwoitych, w niczem odmiana nastąpić nie może. Powiedz w. pan jw. posłowi, że to słowo na „tylu dworów instancję“, wcale mu nie jest przyzwoite, bo instancjonować tylko można starszemu za niższym, król zaś i Rzplta polska w zupełnej z europejskiemi monarchami zostaje równości, zaczem nie była to instancja, ale reprezentacja wzmiankowanych dworów, aby Porta winne królowi i Rzpltéj polskiej poselstwo wysłała.

Invaluit w dawniejszych zwyczajach, aby regimentarze pobliższych partji, posłów przyj-

mowali i tak się stało, nie było zaś zwyczaju, aby tej lub innéj rangi zajeżdżali drogę jw. posłowi i tak się i teraz dziać będzie.

Wzmiankuje jw. poseł że tam z konia zsiadać zwykł, gdzie monarcha jego zsiada; to być może prawdą, ale zwyczaje orjentalne nie są naszem prawidłem. Niech sobie przypomni jw. poseł, jak posłowie nasi wiele i często po podwórzach seraju stambulskiego piechotą chodzić muszą, czemu sprzeciwiać się nie zwykli, bo nie z prawem ale do prawa przyjeżdżają.

Jegomość pan Krutta żadnej sobie nie przywłaszcza prerogatywy, ale to czyni co mu dawne przepisały zwyczaje i w czem zachodzi teraźniejsza moja wola. Koniec końców tych daremnych a przykrych dla mnie rozmów, że jeżeli jw. poseł przyjmie przysłany w. imcipanu na piśmie dnia onegdajszego ceremonjał, wszystkiemu stanie się zadosyć według opisu, gdy zaś akceptować tego nie zechce, wjedzie do Warszawy zwyczajem i trybem, który obserwował w całéj swojej podróży.

F. R.

List ten był komunikowany jw. posłowi przez imcipana konduktora, który odebraną rezolucję odesłał jw. marszałkowi koronnemu w następujących słowach.

„List jwm. pana dobrodzieja przez sztafetę ordynowany, o godzinie 3 odebrałem, wraz poszedłem do posła jegomości i przełożyłem wyrażone w nim rozkazy. Odpowiedział: że tak wiele dyspozycji o wjechaniu mojem czynią, a dotychczas pałac dla mnie niewygotowany, kiedy moi ludzie dotychczas czekają i nie powracają z Warszawy; niech jedno uspokoją, a potem o wjeździe moim niech proponują, o którym nic nie będę przeczył, niech karety i wszystko według dyspozycji konduktorowi danéj będzie, ja się o to nie pytałem i nie pytam, ale sami czynią dyspozycje takie, jakie między przyjaciołmi nie należą. Jeżeliby było miejsce sposobne wjechania na koniu, więc piechotą iść nie chcę, jeżeliby zaś wcale wjechać nie można, było to choćby najdalej, piechotą iść obiecuję w Łazienkach. O eskortę nic się wdawać niechcę, oddaję rozrządzeniu wojskowemu i to dodaję: sami królowi swemu honor uczynią, kiedy będzie *differencja* wjazdu mego do stołecznej rezydencji monarchy, jak do innych miast partykularnych,“ i to przydał że raz prosiłem nie wznawiać ceremoniałów, i teraz proszę, z których proponowania może jakowa niechęć wyniknąć, więcéj nic nie chcę, tylko po wygotowaniu pałacu dla mnie, niech mój marszałek wraz z tłómaczem dadzą mi znać, a ja wysławszy mój ekwipaż wprzódy z podskarbim moim, w kilka godzin po nim wyjadę i względem ekwipażów zatrzymania, w ceremoniale konduktorowi wyrażonych, obserwować nie myślę; niech mój ekwipaż wprzódy idzie z podskarbim, a ja za nim pospieszę do pałacu. Koniec końców przez tak wiele dyspozycji i moich rezolucji, które dotychczas wcale niepotrzebne były, mogłoby się obejść, ale sami wznawiali, ja odpowiadać musiałem.

jwwmm. pana dobrod. najniższy sługa

J. Bachmiński p. w. k.



Włościanka bawarska.

Jaśnie wielmożny marszałek odebrawszy list ten z zupełną jgmci pana posła powolnością, na wykonanie posłanego w. jmci panu konduktorowi względem wjazdu przepisu, posłał do jw. jmci Byszewskiego generała majora wojska koronnego, mianowanego od j. k. mości na przyjmowanie jw. posła, komunikując mu ceremoniał do tego wjazdu ułożony.

Tegoż dnia Kiahaja zobaczywszy, iż w pałacu dla jw. posła wyznaczonym, wszystko w zupełnej jest dla wygody jego gotowości, pojechał wraz z tłómaczem, z tém doniesieniem do Piaseczna.

(*D. n.*)

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

I. Osobliwszy sposób rozpoczęcia karjery.

Po przebyciu ciemnéj bramy i kilku jeszcze usiłowaniach znużonych koni, zatrzymał się pocztowy powóz w miasteczku Bolcen, przed oberżą, na któréj żółtym murze, wymalowany niedźwiedź naturalnéj wielkości, szyld okazały stanowił.

Podczas gdy nowo przybyli, składający się po części z miejscowych mieszkańców, witali się, ściskali i całowali z krewnemi i znajomemi, młody człowiek, na którego nikt nie zwa-

żał, przecisnął się z powozu, przez gromadę spokojnych obywateli, zamaszystych lwów, tkliwych piękności, brudnych żydów i uliczników miasta Bolcen, dla których przybycie poczty, stanowiło w dniu epokę, jakiéj koniecznie musieli być świadkami. Nawet przybycie pierwszego pociągu kolei żelaznéj do miasteczka, gdzie zaledwie ze słyszenia znano lokomotywę, nie zrobiło nigdy większego wrażenia, jak w Bolcen przybycie pocztowego powozu. Obecnie zaś, okolica jeszcze dostarczyła powiększenia kontyngensu ciekawych, w mieście bowiem był jarmark. Z tego powodu, nawet zwykle gościnny zajazd pod *Niedźwiedziem*, nie wielką już wygodę mógł dać tym, co jak przybyły młodzieniec Ksawery, należeli do obcych podróżnych.

Ksawery narzekając na złe zajazdy, chcąc zbadać miejscowość, zaczął się wspinać do kwadratowego otworu, który okno wyobrażał, jakkolwiek koniecznego w niem szkła, trudno było dojrzeć i świeże powietrze wchodziło bez oporu. W miarę jak zmrok zapadał, wyludniał się plac rynkowy i wrzawa ustawała, lecz smutek zaległ serce Ksawerego, gdyż się przekonał, że ani stołek drewniany, ani twarde łóżko, jedyne dwa meble jego pokoju, nie są w stanie udzielić strudzonym podróżą jego członkom, chwili wypoczynku; wyszedł zatem na miasto, chcąc rozproszyć wynikłą z tak smutnego przeświadczenia melancholję. Niestety! nic nie wiedział o obficie spadłym w Bolcen, rano, deszczu i o tajemnicach bruku jego ulic.

Póki był jeszcze w okolicy zajazdu pod *Niedźwiedziem*, miał tylko przykrości ostrego i wyszczerbionego bruku do zniesienia, lecz gdy się zapuścił w labirynt bocznych uliczek, przechadzka jego, stała się nader utrudzającą wędrówką. Nareszcie dojrzał znowu wśród ciemności, drewniane szopy targowego placu, a przypomniawszy sobie, że zajazd w którym stanął, był właśnie naprzeciw strony, która była tych bud pozbawioną, zaczął tam kierować swe kroki, nie domyślając się, jak smutny koniec gotował się dla jego wyprawy. Zaledwie bowiem postąpił kilka kroków naprzód, wpadł zaraz w jakąś błotnistą kałużę; teraz domyślał się, dla czego ta strona placu, była zupełnie sklepów pozbawioną.... Zaczął tedy rozpatrywać się w swém nowém położeniu i robić studja topograficzne. „Wszak sławne bagna Pontyńskie, (myślał sobie), mają swoje granice, niepodobna żeby Bolceńskie były bez końca, brnął zatém, czując zaledwie grunt pod stopami. Za chwilę, leżał jakby na wilgotnéj pościeli. Nareszcie udało mu się wynieść cokolwiek na powierzchnię, jeszcze jedno usiłowanie, a będzie nareszcie na wierzchu, wyciągnął ręce, szukając punktu oparcia i schwycił za nogi jakąś opatrzoną niemi istotę, która przeraźliwemi krzyki: „gwałtu! złodzieje... rabusie... ratujcie!“ dała znać o sobie, że jest istotą ludzką.



Wnętrze głowy posągu *Bawarja.*

Wnet otoczyła go gwarna gromada, z pośród któréj wyróżniał się basowy głos:

— Co to się panu stało, szanowny panie referendarzu?

— Złodzieje, rabusie, ratunku! ratunku! zajęczał znowu zagadniony, gdy Ksawery nowe czynił usiłowania, żeby się na stały grunt wydobyć. Poruszyła się szybko wkoło niego latarnia i dostrzegł kilkanaście osób, przerażonych jego raptownem wychyleniem się z kałuży.

Nie wiele pozostawało mu czasu do rozpatrzenia się w tém towarzystwie, które się około wspomnionego ugrupowało referendarza, tenże bowiem zawołał na drabów z latarniami, którzy mniemanego złodzieja za ramiona schwycili, a sam ciągle krzyczał:

— To on jest! Trzymajcie go tylko mocno Józefie, żeby nie uciekł. A! to straszna rzecz! człowiek nawet spokojnie przez ulice naszego miasta, przejść nie może.

— Tak, tak trzymajcie go dobrze, dodała w pobliżu stojąca kobiéta, on się pewno skradał do bud targowych i chciał poplądrować pomiędzy towarami.

— Zapewne, zapewne, pani syndykowo! odparł referendarz, ale my mu wnet te pokuszenia o cudzą własność, z głowy wybijemy.

— Czy mam łotra uwięzić? zapytał latarnik, którego widać obowiązkiem, było czuwanie nocną porą nad targowiskiem.

— Ma się rozumieć, odpowiedział referendarz, prowadź go do kancelarji.

Ksawery naprózno usiłował rzecz całą wyjaśnić. Józef go mocno ściskał, a referen-

darz mówił na każde tłomaczenie: zobaczymy, co to znaczą te przechadzki nocne, pomiędzy składami towarów.

Podczas gdy referendarz oddalał się z całém towarzystwem i głos pani syndykowéj dolatywał już niewyraźnie, nieubłagany Józef, prowadził de urzędowego więzienia Ksawerego który mimo ciężących nań zarzutów, doznawał pewnéj radości, że przecie ma przewodnika, co od powtórnego wpadnięcia w kałużęgo uchroni. Przybywszy do kancelarji, znów usiłował wytłomaczyć siedzącemu tam urzędnikowi pomyłkę zaszłą na jego osobie, lecz ten bynajmniéj nie został zachwiany w gorliwości i owszem zrobił z najzimniejszą krwią uwagę:

— Im większy łotr, tém się sprytniéj uniewinniać umie; znamy to z codziennéj praktyki.... Już trzydzieści jeden lat jak zostałem urzędowym sługą i odźwiernym więzienia szanownéj gminy miejskiéj, przy któréj już poprzednio zostawałem, w nieco niższém zatrudnieniu, a przez te całe 31 lat, nie pamiętam ani jednego jarmarku, na którym byśmy choć jednego z większych łotrów nie schwytali. Doprawdy, byłoby nawet przykro, gdyby się na teraźniejszym, nie znalazło tego rodzaju zwierzyny.

— Więc jestem rzeczywiście w kancelarji więziennéj? zapytał Ksawery półgłosem.

— Tak jest, a jutro rano będzie posłuchanie, lecz co ci tam będę o tém mówił... ty już pewno znasz całą procedurę sądową ze złodziejami.

Biedny aresztant widział się zmuszonym wysłuchać w milczeniu tych potwarzy o jego życiu dotychczasowém, a wkrótce poprowadzono go wśród sklepień wilgotnych, nie lepiéj od placu rynkowego oświeconych; nogi jego stąpały, po gruncie błotnistym, aż nareszcie znalazł się w ciasnéj przestrzeni, wśród któréj olejna lampka blade ciskała promienie, co mu się kazało domyślać, że przybył do więziennéj izby; tam czekał na niego strażnik miejski, który zaczął go przebiegać oczyma, z usiłowaniem rozpoznania dawnéj znajomości. Lecz widać nie zadowolnił go ten przegląd, rzekł bowiem poufnie do wprowadzającego:

— Jakiś fryc, widzę, zapewne jakiś wędrowny ptaszek jarmarkowy?

Sługa sprawiedliwości, wyraźnie pyszny, że tak niebezpieczne przyprowadził indywiduum, skłonił głowę znacząco i dodał:

— Ptaszek najniebezpieczniejszego gatunku... Winy: rabusiowski napad na szanowną osobę pana refendarza, przytem złe zamiary na moją osobę. Oho!.... musi to być zastarzały łotr, kiedy nawet nie zważa na uszanowanie jakie się nam należy. Powierzam ci go, panie kolego, jesteś zań odpowiedzialny, dopóki nie odszukam nadzorcy więzienia.

To rzekłszy wyszedł, lecz wrócił niedługo w towarzystwie wspomnionego urzędnika więzień, który daleki od mundurowych formalności w swém ubraniu, zdradzał raczéj, że go tylko co wyrwano z objęć Morfeusza. Zjawił się bowiem w kompletnie białéj toalecie, tylko olbrzymia para okularów mających przynajmniej po sześć cali obwodu, zasadzonych na twarzy wieńczącéj postać nader wysoką i chudą, miała jéj dodawać powagi, lecz w tém przybraniu tak mało osłaniającém, nie bardzo zaimponował więźniowi odźwierny Temidy, który nawzajem nie zachwycił się stanem w jakim była tegoż toaleta, po świeżéj w błocie kąpieli.

— Jakże wygląda ten człowiek? zawołał ostro na posługacza, przynieście mu tymczasem ze składu więziennego kaftan, spodnie i pantofle.

Więzień spojrzał po sobie przerażony wydanym rozkazem. Rzeczywiście odzież jego oblepiona najszkaradniejszém błotem, nie dawała mu bynajmniej ujmującéj powierzchowności, jakkolwiek jednak nie mogła mu być miłą myśl, przepędzenia nocy w mokrem ubraniu, nie mniéj przecież odrażał go ubiór dla delikwentów przeznaczony. Lecz opór był niepodobieństwem; rad nie rad musiał zmienić toaletę, a to co zdjął z siebie, najakuratniéj wypisaném zostało w protokóle. W końcu dodano: cygarniczkę z siedmioma cygarami, pugilares na którym wyhaftowany amor, celuje swą strzałę w serce niewieście, oraz pieniędzy talarów 4 i 12 sr. groszy. Gdy to podpisaném zostało, Ksawery mając przed sobą odźwiernego który niósł świecę, a za sobą strażnika miejskiego, wszedł na ponure korytarze pierwszego piętra, w końcu których, znajdowała się cela pod nr. 9, na tymczasowe pomieszczenie jego przeznaczona.

Brzękły klucze, zaskrzypiały zawiasy od stu lat przynajmniéj rdzą toczone i Ksawery znalazł się w zupełnéj ciemności, nie wiedząc gdzieby mógł dać odpocząć strudzonym członkom.

Dla zbadania miejscowości zaczął zwolna naprzód postępować. Macając tu i owdzie rękoma, dotknął na raz chłodnego przedmiotu, który wydawał się być ludzką postacią. Cofnął się przestraszony, gdy w tém usłyszał głos:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! odstąp odemnie straszna maro, ja już nie należę do czarta. Tak, zrobiłem z nim rozbrat na zawsze!

Głos zamilkł przechodząc w ciche chrapanie i ciało nie poruszyło się więcéj, lecz chrapania z różnych stron dochodziły do uszu Ksawerego, zaczął więc zwracać się na prawo i na lewo wnioskując, że gdzieś musi być tapczan, na którymby mógł także zasnąć. Z głębi ciemnicy ktoś się odezwał do niego:

— A co to tam, jakiś przybysz? Chłopcze czy szukasz twego gniazda? Chodź tu zrobiemy ci miejsce; cieszy nas, że możemy nową zrobić znajomość.

Przyzwany zwrócił się w stronę zkąd głos wychodził. Jakkolwiek w tym ochrzypłym od wilgoci więziennéj dźwięku, odgadywać mo-

żna było pretendenta do szubienicy, jednakże Ksawery nie pamiętał aby kiedy wołanie z najuczciwszéj wyszłe piersi, taką go wdzięcznością przejęło, jak ten głos łotra robiącego się jego przewodnikiem.

— No, chodź tu i wyciągnij się jak będziesz mógł, mówił daléj nieznajomy chwytając go za rękę, gdy się zbliżył. Jutro opowiesz mi w jaki sposób dostałeś się do naszego towarzystwa. Słucham chętnie takich szczegółów, z których się czegoś nauczyć mogę. Teraz nie będę cię dręczył moją ciekawością, śpij jeżeli możesz; jeżeliś tu po raz pierwszy, nie taję, że ci to będzie trudno.

Zamilkł dobry koleżka, a Ksawery układł się jako tako na krawędzi tapczana, który mu jego gościnność wyznaczyła. Rozmyślając nad dopiero co ubiegłemi godzinami, w których tak smutną odegrał rolę, nie bardzo się gniewał na ten oryginalny początek zapoznawania się z systematem karnym. Przez swe uwięzienie znalazł się od razu mimo wiedzy i woli w samém środku działalności i mógł lepiej jak każdy inny badacz, zapoznać się z urządzeniem więzień. Skończywszy bowiem nauki w stolicy, przyjechał do Bolcen, ażeby przy tamecznym trybunale rozpocząć karjerę w sądownictwie, jako urzędnik honorowy, i tym sposobem do wyższych urzędów utorować sobie drogę. Raz doszedłszy do tego zastanowienia, przestał się martwić i całą przygodę swoją zaczął uważać z humorystycznéj strony, tak że był już w zupełnie pogodném usposobieniu, gdy towarzysz odezwał się do niego:

— Nie mogę zasnąć, kolego, dopóki nie będę wiedział w jaki sposób w tę chorobę popadłeś.

Na to Ksawery zdziwiony odrzekł:

— Nie wiem, kochany przyjacielu, co cię skłania do mniemania żem chory.

Przyjaciel wybuchnął głośnym śmiechem, a potém rzekł:

— Toś taki kompletny nowicjusz, że nawet nie wiesz, co się przez to rozumie: być chorym. Powiedz że mi poczciwy chłopcze, miło ci tu poza temi pajęczynami?

— Ach! zawołał ze wstrętem Ksawery, podnosząc się z tapczana, czy tu tak dużo pająków?

Echo hałaśliwego śmiechu będącego całą odpowiedzią towarzysza, odbiło się o mury więzienia, potém głos pełen ojcowskiej troskliwości wyraził:

— Widzę, niestety! że z tobą trzeba od *A*, *B*, *C*, zaczynać i nauczyć cię, co my starzy bywalcy zaryglowanych komnat, nazywamy *pajęczyną*.

Tu złodziej dał Ksaweremu niektóre objaśnienia co do języka między sobie podobnemi używanego, które pomijamy i opowiedział mu o kradzieży, którą dokonali w dziewiętnaście osób i za którą siedział obecnie.

— Jak więc długo czekacie w tém więzieniu na ukończenie śledztwa? pytał Ksawery.

— Będzie trzy lata na św. Michał, jak nas tu przyprowadzono; jestto mniéj więcéj długość czasu jaki zajmuje każde śledztwo nieco ważniejsze, jeżeli się tylko wśród badanych znajduje jaki chłopak dowcipny. Ja już tu po trzeci raz siedzę, a nigdy przed dwoma laty nie wyszedłem. Teraz jeszcze dłużéj przeciągnąłem niepewność sędziów, chociaż mi przeszkadzali młodsi, którzy tęsknili za ukończeniem sprawy; także téż i kobiety co miały dzieci i pilno im było do domu. Nie zważając na to plątałem interes jak mogłem, żeby się wlókł najdłużéj i upadł dla braku dowodów. Dziewiętnaście osób mające udział w kradzieży, wyobraźcie sobie, co to za zamieszanie przy badaniu! Każdy utrzymuje że był daleko od wymienionego miejsca; ten na wsi, tamten u swojéj kochanki, trzeci w gospodzie wsi sąsiedniéj. Inny jeszcze wzywa świadectwa kilku osób mogących o prawdzie słów jego upewnić. Musiano więc posyłać do tych wszystkich miejsc z zapytaniem, sto osób było badanych i nim wszystkie akta pościągano z pół roku minęło. Przez ten czas któryś przypomniał sobie, że się pomylił, że właśnie gdzieindziéj był zajęty, nowe poszukiwania zwlokły znowu sprawę i my miewaliśmy po parę miesięcy spokojnych od indagacji. Potém wystąpiła na plac fuzja, którą miał jeden z nas; pytania który miał? w jakim celu? gdzie była nabyta? kto ją zabrał? kto ją niósł? Na raz przypominają sobie, że i strzał z niéj padł. Wznowiona tedy gra pytań i odpowiedzi, nie chcieli nam bowiem wierzyć żeśmy do wróbli strzelać zamierzali. Badano kto kupił amunicję, jak jéj dużo zabrał z sobą, kto ją niósł, kto nabijał fuzję, a kto z niéj strzelał? I znowu przepłynęły miesiące.

— Czy wy téż tylko po wyjściu z więzienia jaki owoc z waszej wyprawy znajdziecie? zapytał Ksawery.

— Wszystko jest przechowane bezpiecznie, odparł łotr z uśmiechem. W tém mi moja kochanka wielkie wyświadczyła usługi. Gdyśmy z towarzyszami ruszyli na kradzież, sprowadziłem ją także na miejsce i wskazałem posterunek na którym stać miała. Potajemnie oknem ciskałem jéj co najlepszego się wziąć dało, a ona zebrawszy, zaniosła do mojej siostry do W., która rzeczy dotąd w największej przechowuje tajemnicy. Ażeby nie było podejrzenia na moję siostrę, byłem tak przezorny, że przedtém udałem, żem się z nią pogniewał. Nikomu więc na myśl nie przyszło, żebym u niéj przechowywał rzeczy skradzione i nie była nawet powoływana w czasie badania. Moję narzeczoną zaś, jako podejrzaną, uwięziono.

II. Weteran więzienia.

Ksawery milczał długo, wbijając sobie w pamięć wskazane mu miejsce pobytu siostry złodzieja i rozważając, jak jedno nieostrożne słowo wystarcza, ażeby obalić dzieło budowane

przez trzy lata wytrwałości, najprzebieglejszego zbrodniarza usiłowaniami, aby zdmuchnąć jak pałac z kart, doskonale obmyślane kłamstwo, na które złożyło się dziewiętnastu zręcznych łotrów. Nadeszła też i dziewiąta godzina ranna i dozorca więzień, Józef, nadszedł do ich oddziału. Otoczyło go zaraz całe szanowne zgromadzenie; każdy domagał się, żeby go prowadzono do badania, twierdząc że ma ważne do odkrycia rzeczy. Dozorca długo z niemi się nagadał, nim im wyperswadował, żeby jeszcze czekali. Już się zabierał do wyjścia, kiedy łotr, który Ksaweremu podczas nocy, tak budujące dawał nauki, zastąpił mu drogę.

— Słuchaj przyjacielu, wołał, jeżeli drudzy mają taką owczą naturę, że się cierpliwie dają od wtorku do piątku, a od piątku znowu do wtorku, odsyłać, to ja z siebie takich żartów stroić nie dam. Ja się chcę stawić, ty mnie zameldujesz.

— Cóżbyś ty miał znowu nowego do zeznania, zapytał dozorca ciszéj, zachwiany energiczną postawą łotra. Wszak cię meldowałem ostatniego wtorku, a tylko wciąż jedno powtarzałeś panu referendarzowi, aby raz skończył twą sprawę. Jeżeli mu nie masz nic lepszego do powiedzenia, to lepiéj siedź.

— Patrzcie go! tego niedźwiedzia, zakrzyczał więzień. Będziesz ty mi tu teraz dawał nauki, co mam robić a czego nie robić, kiedy ja już trzy lata w ciupie siedzę i znam moje prawa tak dobrze, jak pan referendarz zna swoje. Wiem, żem powinien być przypuszczony do badania każdego wtorku i piątku, skoro się tylko zamelduję.

— Ma się rozumieć wtedy, kiedy masz coś ważnego wyjawić albo zeznać, odpowiedział dozorca, starając się łotra od drzwi odsunąć, lecz ten trzymał się upornie na swojem stanowisku i z szyderczym śmiechem mówił daléj:

— Czy ty należysz do liczby sędziów, że chcesz wyrokować, co jaką ma ważność, albo myślisz że ci będę zdawał sprawę jakie mam uczynić zeznania? udaj się z tém do nowicjuszów, tych możesz zdurzyć, ale ja chcę żebyś mnie zaraz zameldował, chociażby ci się nawet zdawało, że ja po to tylko chcę pójść na górę, aby choć przez okno spojrzeć.

Dozorca tak głęboko dotknięty, w powadze swego urzędu, milczał czas jakiś, widać jednak napastnicza mina łotra, który nie przestawał od drzwi mu zastępować, skłoniła go do nieuważania na obelżywy sposób wyrażania się jego, powiedział mu bowiem dość łagodnie: Kiedy się zachowujesz tak nie przyzwoicie, to cię nie zamelduję.

— Doprawdy nie? zawołał łotr śmiejąc się do rozpuku i odsuwając się odedrzwi, porwał za jeden z tapczanów, który się rozpadł na części, a grożąc odłamem drzewa plecom dozorcy, pytał: a co? chyba mnie teraz zameldujesz?

Zapytany z takim naciskiem dozorca, skłonił głowę potakująco i wysunął się co prędzéj, aby zwierzchności o nowo popełnioném nadużyciu więźnia zameldować. Wkrótce stanął przed drzwiami biura, na których stał napis: *Referendarz Sznobeles.*

ALCHEMIK I JEGO POTOMSTWO.

Powiastka arabska.

Dziatki kochane, drogie me pieszczoty,
Zbliżcie się do mnie Marylko i Józiu;
Mam historyjkę dla was wcale nową.
Usiądźcie tutaj, chcę wam opowiedzieć,
Całą bez przerwy; gdy się wam podoba,
Szczerym uściskiem trud mój nagrodzicie.

Pewnego czasu w Arabji kraju,
Żył czarnoksiężnik cudownéj mądrości,
Nieporównanym zwano go Mahmunem.
On w każdéj rzeczy liczbę trzy uważał;
Sławny filozof, alchemista wielki,
Wśród aparatów, pieców, alembików
I różnych machin pędząc życie długie,
Zrobił ów Mahmun przedziwne odkrycie,
Straty którego wiecznie płakać trzeba.

Was już ciekawość bodzie, co to było?
Czekajcie trochę; wiedzieć wprzód należy,
Że Mahmun (gdy go samotność znudziła),
Z tą, którą mniemał że kocha, z nadobną
Palmirą, świętym połączył się wezłem
I wkrótce od niéj doczekał się syna.

Gust wszakże dawny ozwał się w nim znowu,
Znów on się oddał alchemji cały;
A odtąd żona, syn i gospodarstwo,
Nudę mu tylko i przykrość sprawiały.
Błąd to jest wielki i wielce naganny.

Cóż bowiem wyszło ztąd? oto synalek,
Samemu sobie będąc zostawiony,
Oddał się zbytkom; łupił karawany,
Rozbijał ludzi, porywał kobiety,
Był wielki pijak i drwił z Mahometa.
Naówczas ojciec, acz zapóźno, począł
Mocno żałować, że plemieniu swemu
Powinnych starań zupełnie zaniedbał.
Lepiejby z nauk nic nie wiedzieć było,
A zrobić z syna dobrego człowieka.

Kiedy fatalny rozkaz od natury,
Odebrał Mahmun pójść do swoich przodków,
Wspomniał on wtedy o sekrecie owym
Cudownéj mocy, który mu się dawniéj
Dociec głęboką nauką udało.
(I tu to waszą, którąm na początku

Wzbudził, ciekawość wcale zaspokoję).
Słuchajcie pilnie, rzecz to nader ważna.

Jednego ranku zamknąwszy się z synem:
„Drogie me dziecię, rzekł, koniec mój blizki,
Ciężka choroba wieść mi o tém daje;
Tak, my się wkrótce z sobą rozłączymy.
Ty mię utracisz; lecz gdy to nieszczęściem
Będzie dla ciebie, naprawić go można.
Dziwisz się? otóż poznaj tajemnicę,
Którąm dotychczas ukrywał przed tobą;
Nic już przed miłym synem skrywać niechcę.
Zauważ dobrze ten słoiczek szklany,
W nim się zawiera płyn czerwonéj barwy,
Owoc zbyt długich prac, skarb mój jedyny.
Otóż trzeciego dnia po moim zgonie,
Najmniéj trzeciego, pamiętaj to dobrze,
Kiedy swą ręką w zimne moje usta
Kropla po kropli ten balsam wylejesz,
Nagle mię w swoich zobaczysz objęciach
Wracającego do dawnego życia.
Los mój więc tobie w téj treści powierzam,
Od ciebie czekam powtórnego bytu,
Z kolei twoim stanę się dłużnikiem,
Syn ojca swego udaruje życiem,
Ta mię nad grobem nadzieja pociesza".

Spełnić tę wolę przyrzekł syn wzruszony,
Poprzysiągł nawet i w zupełnéj wierze,
Że znów żyć będzie, ojciec jego umarł.

Nieszczęściem wszakże ten syn zaniedbany,
Jakem powiedział, łotr ostatniéj próby,
Skoro się panem ujrzał elixyru
Najszkaradniejsze uknuł przedsięwzięcie:
„Doprawdy, rzekł on, oddawna sądziłem,
Że stary ojciec żył aż nadto długo;
Ja, jak z pozoru widać, mniéj żyć będę.
Skromność albowiem nie jest mą przywarą,
Używam świata; często się narażam
Jak za igraszkę; a że jakimś trafem
Dotychczas żyję, to nie moja wina.
Zapomnieć siebie, czyż może być większe
Głupstwo na świecie? tak, prawo najpierwsze
Oraz najmędrsze jest: myśleć o sobie".
Wprawdzie zgryzoty trapiły go nieco.
Ale trzydniowy czas prędko upłynął
I łotr Meledyn (takie jego miano),
Złém przedsięwzięciem łatwo się zaślepił.

Zły syn złym także stał się potem ojcem,
O dzieci swoje nietroszczył się wcale;
Z czego wypadło że, przez brak starania,
Jeśli sam mało, dzieci mniéj umiały.
Prędko on ciężkiéj dosięgnął starości,
Rozwiozłém życiem zawcześnie zwątlony
Śmierć już przeczuwał; a choć od swych dzieci
Niebył kochany, chciał wszakże na sobie
Doświadczyć cudnéj mocy elixyru
Chytrości, mówił, tutaj użyć trzeba.

Z trzech synów swoich wezwał najstarszego,
Który był całkiem próżności oddany,
Który czcił złoto i który był gotów
Zaprzedać siebie, i na tymto gruncie
Meledyn swoją, zbudował nadzieję.

„Najlepszy synu, rzekł umierający;
Drogi Azorze, tyś człowiek odważny,
Roztropny, skromny, nadewszystko skrzętny,
Ja znam cię dobrze, a dla tego tobie
I tobie tylko chcę okazać dowód
Największy dowód ojcowskiej miłości;
Tuszę, że tego wcale jesteś godzien".

Natenczas tonem uroczystym jeszcze,
Pamięć wielkiego przywiodłszy Mahmuna.
Sekret słoika wiernie opowiedział,
Krom tego tylko, co odmienić życzył.
„Wiesz-li mój synu, co dokazać może
Ten płyn szacowny? ufaj moim słowom.
W moment, jak jestem, cały złotem będę,
Tak, złotem synu i najczystszem złotem.
Wyobraź sobie, że to ciało moje
Jest, jak go widzisz, całe bryłą złotą.
Możesz pojmować, jaki skarb posiędziesz,
I to sam jeden, jeden, bez podziału!
Tobie więc miły Azorze poruczam
Ten wielki sekret, najdroższe me dobro".

Nie mógł syn czuły stłumić swych uniesień:
Ściskając ojca w całéj jego massie
Z uczuciem ważył skarbu swego wdzięki
I serdecznemi oblewał go łzami.

Gdy ojciec skonał, Azor wnet miarkować
Począł, jak wiele wzdłuż i w szerz miał wagi
Drogi nieboszczyk, jak go z miejsca przenieść,
Ciężaru znalazł na cztery wielbłądy.

Kontent z rachunku, jął się on coprędzéj
Rzadki testament przywodzić do skutku.
Lecz w tém, gdy chcąc się pozbyć wątpliwości,
Dwie czy trzy razem kropelek wypuścił,
Widzi, o Stwórco! dziw-to niesłychany!
Martwy Meledyn ruszać się zaczyna;
Potem, dla braku życiodawczéj treści,
Znów kona.... Cały przestrachem objęty,
Wybiega Azor niepomny już na nic;
Słoik upada, tłucze się i marnie
Wszystek niestety! elixyr wycieka!
Odtąd na zawsze ten sekret zaginął!....
Wszystkim trzem niebo taki wymiar dało.
Tak każdy własną skarany był winą.
W téj historji krótko wystawiłem
Ochydne mnogich familji przywary;
Od was przynajmniéj one są dalekie.
O! dziatki drogie, córki me kochane!

Wasz biedny ojciec z czasem was opuści,
A opuszczając żałować was będzie;
Lecz gdy on umrze, wy pewno powiecie,
Tak jest, powiecie, dobrą ciesząc matkę.

„Czemuż skarbami odkupić nie można
Głowy tak drogiéj, tak wielkiego dobra!
O gdyby można, mybyśmy z roskoszą
Za powrót ojca wszystko poświęciły!'
Wy to powiecie, wierzę, bo nie mogą
Dobrzy rodzice mieć niewdzięczne dzieci.

Przełożył: *B. Dołęga.*

TOWARZYSTWO GOSPODYŃ W PIASECZNIE.

Jakiego wysiłku pracy, jak silnej woli i cierpliwości wymaga każdy krok postępu prowadzącego ludzkość do lepszej doli, dowodem pochód sprawy powszechnie emancypacją kobiet zwanej, a którą mybyśmy chętniej mianowali, kwestją wyzwolenia niewieściej pracy, z pod krępujących ją więzów przesądu i uprzedzeń. Zdaje się, iż niema trudności któréjby nie postawiono, niema goryczy którejby oszczędzono kobietom, idącym na przebój z przeszkodami i torującym drogę reszcie, co tylko po utartych już ścieżkach kroczyć się odważa. Argumenta rozumu, pociski szyderstwa, paragrafy prawa, siła zwyczajów, interes egoistyczny klas jednych do drugich, to wszystko spotyka pracownice na tém polu. Napróżno zapewniają one, że o nic im nie idzie, jak tylko o zdobycie sobie szerszych a właściwych im środków utrzymania życia, napróżno z cierpliwością silnéj woli poddają się wszelkim próbom mającym wykazać ich uzdolnienie, rozum, takt w postępowaniu, nic to nie pomaga. Przeciwnicy zawsze je ubierają w kamizelki blumerystki i niebieskie pończochy sawantki, hojnie rozwieszając tę dekorację na wszystko, co jakikolwiek cień postępu w socjalnem położeniu kobiety przedstawia.

Ale postęp oparty jest na swych nieubłaganych prawach.... Idzie on koleją żelaną konieczności i nic mu się oprzeć nie zdoła. Kobiety, jak tylko wyrzekły się niedorzecznych zachciauek szalonej emancypacji, a stanęły na twardym grnncie z żądaniami wyzwolenia swej pracy, jak tylko przyniosły tym sposobem istotny pierwiastek ludzkiego rozwoju, wynalazły ów punkt Archimedesowy dla swej sprawy i nic już ich nie wstrzyma w pochodzie. Już dziś widzimy jak zwolna ale wytrwale zajmują stanowiska dotąd im niedostępne, jak probują na zachodzie Europy rozmaitych zawodów, jak się krzątają około swego wykształcenia, więcéj odpowiedniego do obecnych swych przeznaczeń.

Ten ostatni środek przygotowujący przyszłą, rzeczywistą emancypację, popierany jest najsilniej i koło niego skupiają się też najżywsze nasze sympatje. Przez oświatę i pracę wiedzie droga do postępu i szczęścia. Więc oświecajmy się i uczmy pracy, rzekły sobie kobiety. I oto zakładają szkoły, czy to ogólne czy to specjalne, zakładają stowarzyszenia ubezpieczeń od losu, pomocy pracy, czytelnie, bazary, dzienniki i t. d. Mnóstwo stowarzyszeń tego rodzaju pokryło całe Niemcy, Anglję i Amerykę, a ich prace wieńczące się pomyślnym skutkiem, mimowoli a najdzielniej zamykają usta przeciwnikom.

Taki stan sprawy kobiecej nie mógł pozostać bez wpływu na naszą niewieścią społeczność. Znalazły się podobnie jak na Zachodzie odważne pionierki, które w tym lesie przesądów, gęstszym u nas jak gdzieindziej, zaczęły torować drogę reszcie niewieściej rzeszy. Posiadamy już kobiety redaktorki, kobiety drukarki, drzeworytniczki, pieczętarki, a z czasem pójdziemy daléj. Ażeby to już osiągnąć trzeba było nie małéj pracy i wielkiej odwagi, a jak to przychodzi trudno, dowodem ocenienie działań *Towarzystwa gospodyń*, jakie się w roku bieżącym zawiązało w Piasecznie, małem miasteczku pod Peplinem w Prusach zachodnich. Przywiedziemy ten ciekawy fakt ze szczegółami, da nam on bowiem miarę przeszkód i gdzie one właśnie leżą, dla sprawy emancypacji pracy kobiecéj.

Zdawałoby się, iż będzie to rzeczą nader prostą i do pojęcia każdego trafiającą, że kilka obywatelek wyżéj wykształconych, a przejętych duchem braterskim dla swych sąsiadek uboższych i mniej wykształconych, dobrze zrobią, gdy ustanowią cztery razy do roku wspólne narady, w kwestjach domowego kobiecego gospodarstwa wiejskiego. Gospodarstwo kobiece, mianowicie na wsi, w ostatnich czasach, znalazło znaczne wsparcie w zastosowaniach technologicznych. Jest obecnie więcéj racjonalne i przemysłowe, potrzebuje więc nauki, objaśnienia wzajemnego. W takim stanie rzeczy narada, wspólne udzielenie spostrzeżeń, objaśnienie lepszych i większych gospodyń, może wydać istotne materjalne korzyści. A oprócz tego są i moralne, bo na takich naradach, zbliżających bogatszych do uboższych, wykształceńszych do zacofanych, niepodobna aby nie dojrzała jakaś myśl szlachetniejsza, zacniejsza, moralna. Za sekretem pieczenia ciasta lub sposobem tuczenia drobiu, przygotowania smacznego sera, pójdzie instru-

kcja jaką czytać książkę, co jeszcze potrzeba zrobić dla szkółki miejscowej, lub powiatowego szpitala.

Zdaje się, powtarzamy, iż to wszystko jest proste i jasne, a jednak gdy podobne towarzystwo gospodyń założono, wnet sypnęły się gradem zarzuty, półuśmiechy, pół słówka, szyderstwa. Ale nie uprzedzajmy i opowiedzmy porządkiem tę sprawę.

Od p. Kraziewicz z Tymany wyszedł wniosek założenia związku gospodyń, w celu popierania gospodarstwa domowego. Statuta spisano proste: każda gospodyni czy szlachcianka, czy włościanka, należyć może do Towarzystwa, które odbywać będzie posiedzenia cztery razy do roku. Na posiedzeniach rozbierane będą różne kwestje gospodarcze. Towarzystwo będzie miało swój zarząd. Oto i wszystko. Kilku ludzi dobrej woli zachęciło gosposie, którym się ta myśl podobała i oto w dniu 17 marca r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie, z udziałem czterdziestu przeszło niewiast. Wybrano zarząd do którego weszły pp. Januarja Kalkstein z Peplina jako przełożona, Augustyna Kraziewicz z Tymawy zastępczyni, Benedykta Dzięgielewska z Lalhów pisarzowa i Marja Rabe z Gogolewa zastępczyni. Przytaczamy te nazwiska, one bowiem dają firmę. A któż to jest np. pani Kalkstein? Jest to sędziwa, sześćdziesięcio letnia niewiasta, spokrewniona ze wszystkiemi obywatelskiemi domami Prus zachodnich. Matrona ta nie wahała się odbyć uciążliwej podróży, aby przyjąć uczestnictwo w tem dziele. Lepiej jednak niż nasze słowa, zaświadczy o duchu, jaki panuje w Piaseczyńskiem Towarzystwie gospodyń, przemowa tejże pani Kalkstein, nacechowana dziwną trafnością do pojęcia słuchaczek. Mówiła bowiem sędziwa przełożona tak: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Szanowne panie, zacne obywatelki! Skoro mnie tylko doszła wiadomość, iż w Piasecznie, w którem istnieje znane szeroko i daleko Towarzystwo rolnicze, zawiązuje się także Towarzystwo gospodyń, postanowiłam zaraz przybyć na to pierwsze zebranie, aby i z méj strony przyczynić się maluczko do tak pięknego dzieła, aby i z mej strony dorzucić cegiełkę do zamierzonéj budowy.“

„Mimo tedy wiek podeszły przybyłam, a spoglądając na was, zacne panie i obywatelki, serdeczną czuję radość, iż tak licznie się zebrałyście dla utworzenia Towarzystwa, aby się wzajem pouczać. Witam was tedy, miłe rodaczki i dziękuję za waszą gorliwość i ochotę z jaką tu przybyłyście, a jaka na waszych twarzach się maluje.

„Wypadałoby mi może dać wam jaką naukę, jaką radę, jaką wskazówkę i zapewne też tego się odemnie spodziewacie. Wprawdzie już w sędziwym znajduję się wieku i zaiste wiele nabyłam doświadczenia, ale nie czuję się na siłach, aby mieć jaką rozprawę o gospodarstwie domowem; zostawiam przeto przedmiot ten młodszym i doskonalszym odemnie gospodyniom; natomiast na jedno pragnęłabym zwrócić waszą uwagę, to jest chcę wam dać przykład i wzór do naśladowania.

„Wzorów i przykładów nam ciągle potrzeba, bo słabi i ułomni jesteśmy. I jakiż dla nas kobiet przykład piękniejszym i zacniejszym być może, jeżeli nie Najświętsza Marja Panna, Matka Boża, królowa nieba i ziemi? Toć to jest Gwiazda zaranna, na którą wszyscy ludzie zapatrywać się i naśladować ją mają.

„Najświętsza Panna była dobrą żoną i *gospodynią*. Pomagała w pracy św. Józefowi, utrzymywała domek swój w czystości i ochędóstwie nadobnem, nie tak jak wiele gospodyń w naszych czasach, które niedbają o ład i porządek.

„Weźmy więc sobie za patronkę i opiekunkę naszego zgromadzenia, Najświętszą Marję Pannę. Niech ona przyjmie nas w świętą opiekę, niech uprosi nam u Boga łaskę i pomoc potrzebną, aby Towarzystwo nasze zakwitnęło i pożądane owoce wydało. O! królowo nieba i ziemi! o! Panno nad pannami, wysłuchaj szczere nasze westchnienia i opiekuj się naszem zgromadzeniem. Tyś niebieską dziś gospodynią, nie zapominaj tedy i o nas ziemskich gospodyniach, boś i Ty żyła na ziemi. Niechże wszystkie dziewice, żony, matki i gospodynie, Ciebie za wzór sobie obiorą i o wstawienie się do Boga proszą. Boże święty, za poważną przyczyną N. Marji Panny, błogosław naszemu zawiązkowi, Towarzystwa gospodyń w Piasecznie! Tego życząc z całego serca i duszy, zamykam to krótkie przemówienie moje.“

Tą przemową, a nie zapominajmy że ją powiedziała siwowłosa staruszka, zebrane kobiety silnie zostały przejęte i wzruszone. Po chwili więc dopiero przystąpiono do właściwych obrad i zobaczmy jakie one były. Naprzód pani Kraziewicz mówiła o nowym sposobie prania, podane zaś przepisy natychmiast sprawdzono doświadczeniem, w obec zebranych gospodyń, a przepis wydrukowany rozdano wszystkim. Potém pani Orgelmacher z domu Czerwińska, powiedziała bardzo nauczające objaśnienia o trichinach, w zastosowaniu do użycia mięsa wieprzowego i odpowiednich przy tém ostrożności. Panna Polemberska pokazywała sztuczne kwiaty przez nią robione i zachęcała, aby w wolnych chwilach poświęcano się téj przyjemnej i korzystnej robótce. Pokazano zgromadzonym kobietom machinę do szycia i wykonywaną na niej robotę. Naostatek p. Chociszewski polecał, jako doskonałe, mydło z fabryki p. Jachowskie-

go z Bielec pod Biskupcem, w powiecie Lubawskim i okazał próby takowego, a szanowny fabrykant chcąc zachęcić gospodynie do współudziału w Towarzystwie, każdej ofiarował kawałek mydła pachnącego, czem zostały one uradowane. Widząc ten dobry skutek praktyczny, p. Kraziewicz oświadczył, iż zarząd Towarzystwa będzie się podejmował sprowadzania dla członków, różnych materji i machin, oraz potrzeb domowych po zniżonych cenach, jakie się dadzą na korzyść Towarzystwa u kupców wytargować.

Oto i wszystko. Rzeczy wielkich nie dotykano, o emancypacji kobiet nie gadano, słów pustych a świecących, jak szych, nie marnowano. Ograniczono się skromną praktyką, prostotą, bo większość stowarzyszonych gospodyń, to włościanki lub ubogie gosposie, żony oficjalistów i mieszczan.

Przy takich tendencjach Towarzystwa, mogło się ono tylko spodziewać poklasku, choć go zapewne mało pragnęło, zachęty i poparcia jak każda rzecz uczciwa. Stało się przecież inaczej. Warszawska np. prasa albo nic nie wie o stowarzyszeniu gospodyń polskich w Prusach zachodnich, choć szeroko tłómaczy o podobnych towarzystwach w Niemczech i z niemek złożonych, albo też co gorzej, zamieściwszy ze sprawiedliwém odznaczeniem wiadomości o tem w jednym numerze, daje przytułek szyderczym i niesprawiedliwym pociskom w drugim. Miało to miejsce właśnie w naszej Warszawskiej gazecie rolniczej, gdzie w Nrze 30 r. b. jakiś korespondent z pod Warszawy, przez trzy szpalty tego pisma, wszelkiemi sposobami ośmiesza działanie Towarzystwa. Naprzód nie podoba się temu panu nazwa *Towarzystwa*, jakby nazwa mogła co w tej sprawie znaczyć. Później powiada, że gospodynie prawdziwe nie będą miały czasu, a gdyby się gwałtem wyrwały, to kilkadziesiąt domów na raz zostałoby bez czułéj opieki. Nam się zdaje, że to fikcja i czysta chęć stawiania zarzutów. Gospodynie nie będą miały czasu, cztery razy do roku, zjechać się na jeden dzień do pobliskiego miasteczka? A ileż to razy zjeżdżają się one na odpustą, lub nawet na zabawy? Co do czułego osierocenia domostw, w takim razie zarzut co najmniej śmieszny, gdyby bowiem gospodyni nigdy domu swego osierocać nie chciała, to z domu ruszyć jej się nie byłoby wolno. Dalej oponent powiada, że skoro gospodynie prawdziwe na posiedzenia Towarzystwa jeździć nie będą, to udadzą się tam *biedniuchne spaczone głowy próżniaczek*, które naturalnie nic dobrego nie zrobią. Fakta jednak któreśmy powyżej przywiedli, przeciw temu świadczą. Czy przemowę p. Kalkstein także o spaczoność zdania pomówiemy? Czy praktyczne pranie nowym sposobem które zarządziła i okazała p. Kraziewicz, trąca o jakiś wybryk kobiecej emancypacji i ma reprezentować marzycielstwo? Zaprawdę kto rozpoczyna z Bogiem a ima się pracy, ten pewno nie ma spaczonych wyobrażeń i nie jest próżniakiem. Dalej autor korespondencji zarzuca, iż jeżeli w Towarzystwie zbiorą się same dobre gospodynie, to nic siebie wzajemnie nie nauczą, a jeżeli dopuszczą nieuków, to nad niemi praca jest straconym czasem. Tu już oponent wpada w paradoksalność, chociaż sam twórcom piaseczyńskiego Towarzystwa zarzuca *bzika* emancypacyjnego. Na powyższej bowiem zasadzie, należałoby skasować wszystkie Towarzystwa agronomiczne i naukowe, bo albo tam będą sami uczeni, którzy o wszystkiem wiedzą, albo też nieuki, z któremi nie ma co robić. Oponent zapomina o budzącem się na takich posiedzeniach życiu, o szlachetnem współzawodnictwie, o sile przykładu w dobrem i pożytecznem. Autorowi nie podoba się, iż na posiedzeniu w Piasecznie pokazywano trichiny przez mikroskop, uczono jak się robią kwiaty i rozdawano mydło. To mydło jest przedmiotem drwin, bo widocznie musi być tajnem korespondentowi, że ubogie włościanki bardzo zachęcone zostały do Towarzystwa podobnym podarkiem i że wszelkich dróg używać się godzi, aby obudzić dobre instynkta, zapewnić większą czystość, porządek, oszczędność między ludem prostym, zawsze jeszcze nieco dziecinnym. Raczej więc owo mydło uważamy za dobry pomysł, niż za przedmiot śmieszności. A zresztą czy oszczędności zaprowadzone przez ulepszenie prania nic nie znaczą? Dla ubogich, każdy grosz ma wartość i bodajby na każdem posiedzeniu Towarzystwa jednej takiej oszczędności nauczono, a już trwaniem swojém złoży ono dowody pożytku.

Kończąc tę, raczéj nie obronę a protestację, tak zacne bowiem usiłowania stowarzyszonych obrony nie wymagają, powiemy autorowi korespondencji w Gazecie rolniczej, iż pomiatanie jego niemcami, anglikami i amerykanami dowodzi strasznej młodzieńczości sądu, przy całem bowiem poszanowaniu dla poczciwych polek, z serca życzyłbym rodzinom naszym, takiej spójni, takiej moralności matek, ładu w domowem ognisku, jakiego dają dowody rodziny angielskie, amerykańskie i niemieckie. Dobrze będzie też pamiętać, że zacność swoją nie przedrwiwaniem obcych najjaśniej wykazać można.

Adam Wiślicki.



KÓŁKO DOMOWE

Listopad 1866 r.